

Marek Grzywacz

SMUTNE ODPADKI

Żalność cywilizacyjna na sto słów

Szara dziewczyna

Szare tłumy. Głupi frazeologizm. Szarość to otoczenie. Szare budynki, gołębie, niebo. Tłumy są boleśnie pstrokate i irytująco hałaśliwe. Każdy chce wyróżniać się z tła.

Może dlatego zauważyłem ją, postronną, niewidoczną dla przechodniów. Szary żakiecik i spódniczka. Tej barwy rękawiczki, buciki. I usta. Jakby sine.

Całość piękna.

Musiałem za nią pójść.

Później pieściłem tę śliczność. Całowałem nie-sine, a szare usta. Potem boski seks.

Rano wstałem jakiś taki monochromatyczny.

Podziwiając moją nową postać zrozumiałem, jaki dar mi przekazała. Zlałem się z tłem, spokojnym światem słodkiej stagnacji, której desperacko unikacie. Zszarzałem i nie jestem już dla was.

O, macham ręką. Widzicie? Nie sędzę...

Muzyka miasta

Miał w sobie pasję. Setki godzin spędził przy mikrofonie, setki nocy zarwał zapelniając kartki słowami. Wypluwał rymy, a raczej skargi. Każdy kawałek był protestem przeciwko bezdusznemu miastu. Nienawidził odrapanych bloków, brudnych ulic, żalonych ludzi zniszczonych żalnością. Ciągłego zaszczucia.

Ale miasto dbało o swoje dobre imię.

Zaskoczyło go w bocznej uliczce. Płyty chodnikowe wciągnęły stopy w beton. Latarnie uderzyły światłem w twarz, jak na przesłuchaniu. Nie padały jednak pytania. Cegły wyrwały się z objęć zaprawy, runęły na niego. Ukamienowały bez procesu.

Miasto znało jednak litość.

Gdy umierał, przygarnęło go. Wtopiło we własne serce, by przez wieczność pokutował poznając jego prawdziwą muzykę.

Tasiemcowy tasiemiec

Obgryzała paznokcie. Intryga zmierzała ku Wielkiemu Wybuchowi. Czy Klarysa wyjdzie za Olka, czy wybierze dzikiego Romualda? Jak zareaguje na wieść, że narzeczony sypiał z ciotką Matyldą? Czy Bonifacy powie Wioletcie, iż jest jej biologicznym ojcem?

Odkrajała plasterek za plasterkiem suchej krakowskiej. Zajadała się, a przez ekran przetaczały się Prawdziwe Problemy.

Przy zbliżeniu twarz Klarysy wypadła na zewnątrz. Za nią reszta ciała. Tyłek zniknął w paszczy Jolanty, której nogi tkwiły w przelyku Euzebiusza. Coraz dłuższa kreatura, a każdy człon był obłym celebrytą.

Wokół ust Klarysy wyrosły metaliczne haki. Tasiemiec zdecydowanie uzbrojony.

Tylko dieta inna. Z apetytem pochłaniał papkę przetrawioną przez mózg.

Tête-à-tête z duchami

W moim pokoju lubiły przesiadywać duchy. Drobiazg, szybko nawykłam i nie przeszkadzała mi ich zimna, milcząca obecność. Przychodziły, odchodziły. Nic wielkiego, nawet, jeśli martwe oczy obserwowały mnie gdy spałam.

Aż raz, kiedy kładłam się do łóżka, poczułam ciepło.

Był inny. Zmienił pokój w saunę. Podmuchy gorąca nadchodziły w rytm mojego oddechu. Zaczynałam rozumieć. Nie patrzył. Pragnął.

Rozebrałam się, bez wstydu udostępniłam. Nie ujawnił się. Tylko dotyk, palce dziwne. Jak długie, delikatne płatki egzotycznego kwiatu. Sporo umiał nimi zrobić. Wszedł nieśmiało. Nie chciał mnie wystraszyć?

Po wszystkim zniknął.

Ale coś zostawił.

I teraz pytam – jak kurwa zmusić ducha do płacenia alimentów?

Nie męcz się, kochanie

Boże, jak on się męczył. Uparciuch szedł na zmarnowanie. Ciągłe otepiały. Albo nerwowy. Odruchowo obmacywał kieszenie szukając paczki. Zaczynał tyć.

Żal było patrzeć.

- Niech już pali, żeby tylko mu ulżyło! – modliła się. – Oddałabym siebie!

Na szczęście coś błagań słuchało. I potraktowało poważnie.

Gdy narzeczony wrócił, ukazała w pełnej krasie swoje poświęcenie. Sutki zapraszały iskrami żaru. Dym ulatywał spomiędzy warg, wplatał się w jasne włosy. Pachniała tytoniem, ociekała nikotyną. Uśmiechnęła się, a każdy ząb był pięknym Marlboraskiem w białej bibule.

Opór nie miał sensu. Rzucił rzucanie.

Wzięli ślub i doczekali się potomka. Guz przyszedł na świat szybko i sporo ważył.

I jak tu się najeść?

Demon wkradł się do głowy śpiącego młodzieńca. Uśmiechnął się bezzębną paszczką. Otworzył szeroko setki par oczu, szukając smacznych kąsków.

Zjadał marzenia.

Dążenia, wielkie plany, śmiałe wizje najlepszej możliwej rzeczywistości, nawet te niedorzeczne, którymi można tylko łagodzić ból.

Pożerał je, pozbawiając ofiary tej odrobinki otuchy, głupiej nadziei. Kochał to. Podniecało go okrucieństwo własnej diety.

Dojrzał sferę marzeń, pulsującą ciepłym światłem. Wdarł się do środka...

Załamiał się. Znowu to samo! Niskokaloryczne gówno!

Żeby szef dorzucił cztery stowy do pensji. Żeby matka przetrwała chemię. Żeby Anka do mnie wróciła. Żeby kredyt mi dali.

Demon zawył smutno. Uświadomił sobie, że czas zmienić nawyki żywieniowe.

Wrodzona wredność kiblowa

Nigdy w publicznych. Nie potrafiła. Zarazki, najobrzydliwsze choroby, uryna, gorsze wydzieliny. Groza.

Niestety, pęcherz nie sługa.

Wnętrze marketowej toalety sterylnie białe. Podejrzanych zapachów, brązowych smug brak.

Syf nie zatykał odpływu.

Przełamała strach. Usiadła, walcząc z wizjami meneli z biegunką i zboków strzepujących się nad muszlą.

Ulżyło jej. Psychofizycznie.

Wtem coś pociągnęło ją w dół. Do środka.

Wybiegając na galerię wywołała panikę. Zadrapania zakwitły żółtawymi bąblami. Sznury papieru toaletowego zwisały z niej jak upiorne łańcuchy choinkowe. Pachniała sumą fekaliów całej dzielnicy.

Nie odratowali. Bakterie przeżarły ciało doszczętnie.

Sprzątaczką zarzekała się, że z ostatniej kabiny po lewej długo dobiegał złośliwy, niekontrolowany rechot.

Bekonowe Piekło

Niełatwo mieć za matkę nawiedzoną wegetariankę. Ciekła mu ślinka na widok skwarków, szyneczki w żółciutkiej jajecznicy, plastrów boczku. Zakazany owoc smakuje najlepiej nawet, jak się nie zna jego smaku.

- Żeby się napaśli, musi umrzeć świnka – tłumaczyła. – Niespokojne świńskie duszyczki obserwują ludzi zżerających ich kuzynów... jak muszą się czuć!?

Był grzeczny. Słuchał i tak mu zostało.

Raz jednak wstał po zakrapianej imprezie. Poczłł obezwładniający zapach. Ślicznotka doglądała bekonu zwijającego się w przyrumienione fale.

Chrzanić wegetarianizm.

Przyszły gdy zdrzemnął się, zmęczony kacem. Legion potępieńców. Piekielnie różowiotkie prosiaczki patrzyły pustymi oczodołami. Marszczyły ryjki w świętym oburzeniu.

Wymierzyły karę. Usmażyły go na chrupko.

Wyciek

Wszyscy udostępniali. Wszyscy ściągali. Pędzące informacje tak rozedrgały podziemne światłowody, że doszło do lokalnych wstrząsów. Do Sieci wyciekła niewydana płyta Boga. Świat odsłuchiwał empetrójkę o czasie trwania ∞ . Brzmiała jak triumfalna pieśń życia śpiewana barytonem, jak rozbudowany niczym Wszechrzecz biblijny concept album.

Internauci nie byli zachwyceni.

Posypały się komentarze:

A gdzie w tym jakiś sens?

Basista zna tylko dwa chwyty.

Słyszeć w tym jedynie napompowane ego autora.

Jebać to.

Konserwatywnie uwsteczniiony przekaz.

Nawet gdyby wyszło, i tak nikt by nie kupił.

Nikt nie lubi domorosłych krytyków.

Serafiny runęły z Nieba na płomienistych rydwanach. Ogniem i cierpieniem wymusiły przestrzeganie praw autorskich.

Z cienia odpadków

Bycie nocnym stróżem na składowisku odpadków to spokojna praca. Gdy przestanie cię dołować widok gnijących wzgórz śmieci, zmarłego tragicznie sprzętu AGD, jak przyzwyczaisz się do fetoru i metanowej atmosfery, nawet do polubienia. I lubił.

Dopóki nie wylęły się one.

Najpierw jadły resztki, których żadna szanująca istota by nie przełknęła. Potem próbowały wszystkiego. Metalu, plastiku, drewna. Aż odkryły mięso. Pożerały wszystko, co się przybłąkało. Aż zabrakło, a płot niski, łatwy do sforsowania.

Musiał dokarmiać.

Przytaszczył zwłoki. Rozpruł wcześniej, wnętrzności wypadły z brzucha. Między stertami odpadów zapłonęły seledynowe ślepia. Wybrał muskularnego kundla. Sycącego. Miał smakować.

Byle tylko nie zainteresowały się czymś więcej...